

... i w tym czasie... (faint text)

... (faint text)

... (faint text)

...

WYWIAD Z PROFESOREM WITOLDEM HENSLEM
(przeprowadził Przemysław Urbańczyk w dniu 26 lutego 2004 r.)¹

PU: Panie Profesorze, nie mam żadnego konkretnego planu tej rozmowy, i właściwie interesuje mnie wszystko. Może nie jestem akurat właściwą osobą, bo reprezentuję pokolenie Pana wnuków naukowych, więc oczywiście nie wszystko pamiętam i nie o wszystko będę w stanie zapytać. Zacznijmy od tego, jak to się stało, że Pan został archeologiem? Przecież stało się to przed wojną, kiedy jeszcze mało kto słyszał, że w ogóle istnieje taka dziedzina.

WH: To wiąże się niewątpliwie z moją genealogią, bo chodziłem do gimnazjum w Gnieźnie, owianym legendami o początkach państwa polskiego. Stąd wyniknęło moje zainteresowanie dwiema dziedzinami: historią i historią literatury. W tej drugiej pomagał mi ojciec, który kupował mi książki. Miałem więc za młodu zbiór wszystkich dzieł zbiorowych największych polskich poetów. Miałem też wybitne dzieła historyków, między innymi Askenazego o Tadeuszu Kościuszcze, i innych autorów — np. o Łukasimskim.

¹ ... (faint text)

PU: Rozumiem, tradycje rodzinne, ale dlaczego akurat prahistoria, a nie historia?

WH: Zacząłem od studiów historycznych w Poznaniu w 1934 r. Miałem wtedy 17 lat. Przeczytałem na spisie wykładów: „prehistoria” i uznałem, że jak chce się badać historię, to trzeba znać to, co było przedtem. Poszedłem więc na wykłady z prehistorii profesora Kostrzewskiego. I to mnie tak zafascynowało, że już jako student pojechałem na wykopaliska do Biskupina w roku 1935.

PU: Czyli właściwie zaraz po odkryciu?

WH: Tak, bo pierwsze badania w Biskupinie były w 1934 r.

PU: To było przedsięwzięcie na skalę europejską, niezwykle chyba pod względem wielkości w tym czasie?

WH: To były właściwie jedyne u nas badania w tej skali.

PU: I szkoda, że do dzisiaj w zasadzie nie ma właściwie monografii biskupińskiej. To jest problem polskiej archeologii, że nie ma podsumowania tych wielkich badań najświetniejszego polskiego stanowiska. Czy to wynika z tego, że za dużo było tych wykopalisk?

WH: Chyba za mało jest specjalistów, którzy się tym zajmują. To wynika też z ogólnej niechęci do prac syntetycznych i podejmowania oceny wszystkiego, czego się dokonało. I to jest najgorsze.

PU: Autorzy boją się chyba podsumowywać za szybko?

WH: Nie tylko. Zabrakło inicjatorów tej akcji, m.in. profesora Kostrzewskiego, potem jego kontynuatora, profesora Zdzisława Rajewskiego.

PU: Tak, ale młodsza generacja jakoś nie podejmuje tego tematu.

WH: Wtedy myśleliśmy, że to jest tak zwany gród prasłowiański. W tej chwili uważam, że był to gród wenezyjski.

PU: Panie Profesorze, skala wykopalisk w Biskupinie miała związek z ich niewątpliwymi aspektami politycznymi. Rząd był nimi zainteresowany i udzielał mocnego poparcia (podobnie jak później było z badaniami milenijnymi). To chyba właśnie był przykład, jak można wykorzystać archeologię do zainteresowania władz i do uzyskania od nich środków.

WH: To nie było poparcie rządowe, tylko umiejętna propaganda.

PU: Profesora Kostrzewskiego?

WH: Przede wszystkim Rajewskiego.

PU: Zdzisław Rajewski był takim szefem od propagandy?

WH: Ja uważałem, że to był minister skarbu profesora Kostrzewskiego.

PU: A jak zdobywał te pieniądze?

WH: W najrozmaitszy sposób. Przede wszystkim swoją umiejętnością podejścia do ludzi. Chodził po prostu po rozmaitych instytucjach i tam wyzebrywał środki na badania. Przyjeżdżali też liczni zwiedzający, którzy płacili za wstęp do Biskupina.

PU: A czy bywało też tak, że dawali jakieś większe sumy?

WH: Nie. Wstęp był niedrogi, tylko złotówka, a dla młodzieży 50 groszy. Korzystna była wizyta Prezydenta Mościckiego. Właściwie już przed nią udało się Rajewskiemu skontaktować z Urzędem Pracy, który przyznał środki na bezrobotnych pracujących na wykopaliskach.

PU: To te ogromne rzesze tych pracowników?

WH: Była ich wtedy setka, czyli to była jedna z największych ekip wykopaliskowych, jakie kiedykolwiek działały w Polsce.

PU: Chyba do dzisiaj tak dużej ekspedycji z ponad setką pracowników nie było?

WH: Chyba nie, ale wtedy była to ogromna impreza.

PU: Pan zaczął też wkrótce swoje badania. Jak to się stało, że profesor Kostrzewski wydelegował Pana do tych badań, które pewnie ukierunkowały Pana zainteresowania wczesnym średniowieczem?

WH: To jest dosyć dziwna historia, bo Kostrzewski raczej mnie nie lubił.

PU: Dlaczego?

WH: On lubił ludzi, którzy dużo mówią, i dlatego lubił Rajewskiego, który opowiadał rozmaite dowcipy, a ja byłem raczej zamknięty w sobie.

PU: Więc to było „wyrzucenie”?

WH: Władysław Maciejewski, dawny pracownik techniczny Instytutu Prehistorycznego, twierdził, że to on podpowiedział Kostrzewskiemu, żeby zwrócił na mnie uwagę.

PU: I dokąd Pana wysłał profesor Kostrzewski?

WH: Rozpocząłem badania w samym Gnieźnie — przed katedrą.

PU: Dlaczego akurat Gniezno? Czy to profesor Kostrzewski wymyślił?

WH: Nie, ówczesny biskup był wielkim budowniczym i chciał zostawić po sobie rozmaite pomniki.

PU: Biskup Laubitz, który sam też prowadził jakieś badania?

WH: To było przy okazji wykopów budowlanych, w których natknięto się na zabytki. Wtedy zawiadomił o tym profesora Kostrzewskiego, który posłał swojego pracownika — doktora Durczewskiego. Ja byłem wtedy jeszcze studentem.

PU: W którym to było roku?

WH: W 1936.

PU: Zatem, od razu po szkole biskupińskiej został Pan rzucony na szerokie wody samodzielnych wykopalisk, i to na takim trudnym stanowisku? To chyba jednak dowód zaufania profesora Kostrzewskiego?

WH: Zaufanie było duże, może za duże, tak bym powiedział...

PU: Dlaczego?

WH: Bo to było jednak ogromne stanowisko i bardzo ważne, a moja wiedza nie była jednak jeszcze największa.

PU: Chyba to dobrze świadczy, że profesor dawał właśnie młodym adeptom odpowiedzialne zadania?

WH: Pod tym względem był niesłychanie dobrym mistrzem, z młodymi ludźmi współpracował bardzo dobrze i popierał ich działania.

PU: A jaki był profesor Kostrzewski na co dzień? Jego sylwetkę naukową dobrze znamy, ale jakie było pierwsze wrażenie w osobistym kontakcie? Jak się współpracowało z profesorem w pierwszych latach, jeszcze przedwojennych?

WH: Był ascetą...

PU: Znany był jako abstynent.

WH: Jażdżewski mówił, że Kostrzewski nie znosił kobiet, mimo że miał dzieci. Później pojechał do Częstochowy ślubować czystość, i chwalił się tym.

PU: O tym nie słyszałem. Ile miał dzieci?

WH: Dwoch synów i córkę.

PU: Panie Profesorze, wiemy, że już przed wojną profesor Kostrzewski właściwie był instytucją, był — można powiedzieć — archeologią polską. Kształtował się też jednak i konkurencyjny ośrodek warszawski. Niedawno w naszym Instytucie profesor Stefan Kozłowski przedstawił referat, w którym przedstawił dzieje archeologii przedwojennej jako konkurencję między profesorem Kostrzewskim a profesorem Antoniewiczem, który chciał się usamodzielnić. Czy ta konkurencja rzeczywiście była ostra?

WH: Po prostu obaj mocno się nie lubili. Kostrzewski nie lubił Antoniewicza, który był Ormianinem i miał cechy Ormianina. I stąd między nimi rozdziły się spory. Ale habilitację Antoniewicz robił u Kostrzewskiego.

PU: Bo też u kogo miał robić?

WH: Wówczas działał jeszcze nestor archeologów polskich Włodzimierz Demetriewicz.

PU: Panie Profesorze, w historii polskiej archeologii ciągle powraca motyw konfliktu archeologii niemieckiej i archeologii polskiej. Uważa się, że profesor Kostrzewski budował polską archeologię jakby w opozycji do archeologii niemieckiej. Z tego jednak, co ja wiem, wzajemnych kontaktów było sporo i badacze się często odwiedzali.

WH: Kontakty były liczne. Kostrzewski był przecież uczniem Kossinny, ale go nigdy nie znosił. Uważał go za zniemczonego Mazura. Twierdził, że na wykładach Kossinna mówił: „to przechodzimy teraz do omawiania kultury polskiej, a właściwie polskiego bałaganu”.

PU: Czyli, „Polnische Wirtschaft“.

WH: No tak.

PU: Panie Profesorze, ilu było czynnych archeologów przed wojną? I w ilu ośrodkach zaczynało się kształtować jakieś środowisko archeologiczne?

WH: W Poznaniu studiowało dziesięć osób, ale jedynym prawdziwym studentem archeologii byłem praktycznie tylko ja.

PU: Czy oprócz Biskupina i Gniezna prowadził Pan jeszcze przed II wojną światową jakieś prace terenowe?

WH: Przede wszystkim te w Gnieźnie, które skończyły się fatalnie.

PU: Dlaczego?

WH: Opisałem w artykule w miejscowym „Kurierze” kiepskie badania biskupa Laubitza. Wtedy biskup postanowił się mnie pozbyć z Gniezna. Zwołano wielką naradę konserwatorską, na której mnie usunięto.

PU: A kto był w tej radzie?

WH: Konserwator wojewódzki i konserwator zabytków archeologicznych, profesor Zygmunt Zakrzewski, który się zresztą nie lubił z Kostrzewskim i nie lubił mnie. Wszyscy więc, poza Kostrzewskim, głosowali przeciwko mnie. Przez to zostałem z Gniezna zwolniony, ale wtedy dostałem stanowisko kierownika badań w Kłecku.

PU: Też dzięki profesorowi Kostrzewskiemu?

WH: Tak.

PU: Dlaczego KłECKO?

WH: Bo tam był gród wczesnośredniowieczny, na którym w trakcie przypadkowych robót ziemnych natrafiono na resztki drewnianych konstrukcji. To spowodowało, że Kostrzewski zorganizował ekspedycję. Tam przez kilka miesięcy prowadziłem te badania.

PU: Kiedy?

WH: Od 1936 do 1938 r.

PU: A czy w Gnieźnie ktoś kontynuował te badania po Pana wyjeździe?

WH: Magister Wojciech Kóćka prowadził badania do 1938 r. Potem rozpoczęły się badania w Poznaniu, częściowo z mojej inicjatywy.

PU: W okresie przedwojennym rozpoczęto wiele badań, które później kontynuowano. Jakie było tło tych badań poznańskich?

WH: Po prostu razem z Rajewskim namówiliśmy profesora Kostrzewskiego, aby po badaniach w Gnieźnie sprawdzić, jak to było w Poznaniu. I wtedy Fundusz Pracy zgodził się opłacać robotników także w Poznaniu.

PU: To było na placu przed katedrą. Co na to Kościół? Czy była zgoda metropolity?

WH: Tam nie miałem żadnego sporu z biskupem ordynariuszem, którym był wielki ksiądz August Hlond.

PU: Kto był nominalnym kierownikiem wykopalisk, pewnie profesor Kostrzewski?

WH: Tak. Ja byłem tak zwanym miejscowym kierownikiem badań.

PU: Ile osób brało udział w tych badaniach?

WH: Robotników było około 30.

PU: I to trwało aż do wybuchu wojny?

WH: Ja prowadziłem badania do sierpnia 1938 r., potem niestety musiałem iść do wojska. I przejął te wykopaliska znowu Kóćka, który niejako zawsze mnie potem zastępował. On był starszy ode mnie, ale ja jako młodszy byłem tam pierwszym kierownikiem. Udało nam się odkryć zupełnie niespodziewane rzeczy. Mianowicie, na placu przed katedrą natrafiłem na wielki wał kamiennieo-drewniany, pierwszy tego rodzaju w Polsce. Dotąd większego jeszcze nie odkryto.

PU: Widziałem go dwa lata temu w nowym wykopie w ogrodach arcybiskupich. Piękna konstrukcja hakowa z odsadzką kamienną. Myślałem, że to już wszystko zgniło, a to leży i czeka w dalszym ciągu.

WH: Zakonserwowaliśmy go różnymi środkami naftowymi. Zrobił to nasz laborant Władysław Maciejewski.

PU: Widocznie skutecznie, bo do dzisiaj się to zachowało. Czy to wtedy znalazł Pan pod kościołem Najświętszej Marii Panny ten fragment muru, który ostatnio okazał się palatium?

WH: Nie, to było dopiero w 1946 r., kiedy zacząłem prowadzić wykopaliska z ramienia Instytutu Prehistorycznego Uniwersytetu Poznańskiego. Wtedy już byłem samodzielnym kierownikiem.

PU: A profesor Kóćka ciągle jak cień za Panem siedzi?

WH: Nie, wtedy we Wrocławiu prowadził z ramienia Uniwersytetu Poznańskiego, w którym pracował jako antropolog, badania wykopaliskowe na Ostrowie Tumskim.

PU: Wracając do czasów przedwojennych, powiedział Pan, że w 1938 r. został Pan wzięty do wojska i przerwał Pan badania w Poznaniu. Wojna zastała więc Pana w mundurze. Czy w czasie wojny miał Pan jakikolwiek kontakt z archeologią?

WH: Wykorzystywałem wakacje, pisząc pracę o ceramice gnieźnieńskiej, która ukazała się w 1939 r., kiedy byłem w wojsku. W wojsku miałem też wykłady dla żołnierzy o wykopaliskach, które prowadziłem.

PU: Cieszyły się popularnością?

WH: Było duże zainteresowanie. To było w garnizonie w Kaliszu w Szkole Podchorążych.

PU: I tam Pana wojna zastała?

WH: Nie, w Krotoszynie.

PU: Czy później, już w czasie okupacji, udało się Panu utrzymywać jakieś kontakty z innymi archeologami, czy pracować nad czymś?

WH: Osobisty z Rajewskim, a pisemnie z profesorem Kostrzewskim, który się ukrywał jako Bogdan Brodniewicz.

PU: Gdzie się ukrywał?

WH: Gdzieś w Małopolsce, chyba w jakimś majątku Wielopolskiego.

PU: A Zdzisław Rajewski?

WH: Pod Grójcem, pod swoim nazwiskiem. Ja też pod swoim występowałem, chociaż mnie na początku wojny szukali gestapowcy w Poznaniu, bo przed wojną publikowałem rozmaite rzeczy antyniemieckie. Jak przyszli, to zaczęli szukać mnie w muzeum. Na szczęście laborant Maciejewski powiedział, że nie wróciłem z wojny, więc zrezygnowali.

PU: A gdzie Pan był w czasie wojny?

WH: Między innymi przeszedłem kampanię nad Bzurą. Chrzest bojowy miałem pod Łęczycą.

PU: Jaka to była formacja?

WH: Piechota. Byłem zastępcą dowódcy plutonu.

PU: Czy pamięta Pan, jak się nazywał dowódca?

WH: Niestety, nie.

PU: I tam Pan był ranny?

WH: Ranny zostałem w Palmirach, kiedy cofaliśmy się na Warszawę. To był jakiś nalot samolotowy, i dostałem odłamkiem bomby, ale miałem szczęście. Należałem do ludzi wygodnych i nie chciało mi się nosić grubego płaszcza wojskowego. Miałem pomocnika, żołnierza, który mi doradził, żeby zrolować ten płaszcz i założyć na siebie. I to była rada mądra, bo się okazuje, że właśnie ten zrolowany płaszcz powstrzymał odłamek bomby. Gdyby nie on, to oczywiście zginąłbym, bo to było na wysokości serca.

PU: Takie opowieści spotyka się w filmach — np. że papierosnica uratuje komuś życie.

WH: Dzięki temu żołnierzowi przeżyłem. Niestety, zapomniałem jego nazwiska. Po-tem dostałem się do niewoli.

PU: Zatem Niemcy szukali Pana w Poznaniu, a Pan był w tym czasie u nich w niewoli. Aha, żona podpowiada, że Pan uciekł z tej niewoli. Jak to było? Czy mógłby Pan coś powiedzieć, gdzie Pana trzymali?

WH: W kościele w Mińsku Mazowieckim i udało mi się jakoś wymknąć. Niemcy wszystkich, którzy pochodzili z terenów dawnego Cesarstwa Niemieckiego, zwalniali, więc i mnie specjalnie nie pilnowali. A potem z powrotem do Poznania...

PU: Ale w Poznaniu Niemcy szukali Pana.

WH: Przyjechałem tam już po tym wszystkim — około 18 listopada.

Maria Hensel: W listopadzie byliśmy już przecież w Warszawie.

WH: W takim razie w październiku.

PU: A jak poznał Pan żonę?

Maria Hensel: Poznaliśmy się w pociągu, podczas ucieczki z Poznania do Warszawy. To było około 13 czy 14 listopada. Mąż jechał na fałszywych papierach, jako syn jakiejś sąsiadki. W Poznaniu wsiedliśmy do tego samego przedziału i w ten sposób się poznaliśmy.

PU: Dlaczego Pani jechała do Warszawy?

Maria Hensel: Jechałam już po raz drugi. Mój ojciec, lekarz, jako powstaniec wielkopolski był na liście do wysiedlenia, ale ostrzegła go Niemka — pacjentka. I ta Niemka miała syna, który był w SS czy w SA, już nie pamiętam. On załatwił całej rodzinie przepustkę „Nach Warschau und zurück”. Wyjechaliśmy w 17 osób autobusem. Jechaliśmy przez całą noc. To było chyba 11 listopada.

PU: Czy mieliście Państwo jakąś rodzinę w Warszawie?

Maria Hensel: Nie, wylądowaliśmy na Żurawiej pod 24-ym, bo mój wujek, który jechał tym samym autobusem, miał znajomych Żydów pod numerem 26. On ze swoją rodziną poszedł do nich, a my nie mieliśmy co ze sobą począć i staliśmy w bramie. Około szóstej rano jakaś gospoia szła po zakupy, no i zobaczyła nas, sześć osób (moi rodzice i czworo dzieci) z bagażami. I pyta: „A Państwo co tu robicie?” Wtedy mój ojciec dał swoją legitymację lekarską, przedstawił się, i powiedział, że po prostu musieliśmy Poznań opuścić i nie mamy się gdzie podziać. A ona mówi: „To się dobrze składa, bo moi Żydzi uciekli do Lwowa, i możecie Państwo na razie się u mnie zatrzymać”.

PU: A jakie papiery miał Profesor?

MH: Miał Kennkartę na swoje nazwisko, ale był w niej o dziesięć lat starszy.

PU: A czemu wróciła Pani do Poznania?

Maria Hensel: Bo myśmy tam coś zostawili, czego baliśmy się ze sobą zabrać. Ponieważ przepustka była „Nach Warschau und zurück”, pojechaliśmy z mamą do Poznania na jeden dzień i wieczorem jechaliśmy znów „nach Warschau” pociągiem, w którym poznałam męża. Mieszkaliśmy na Żurawiej kilka dni, a potem na Nalewkach. Warunki były okropne, ale nas nie było stać na to, żeby jakoś się lepiej zainstalować. Przenieśliśmy się więc z powrotem na Żurawię, do tej gospoii. Kiedy stanęliśmy z naszymi workami przed Żurawią 24, po drugiej stronie ulicy szedł mój mąż. Zobaczył mnie i przybiegł, żeby pomóc wnieść te bagaże. Wiedział więc, gdzie mieszkamy. Pobraliśmy się w 1941 r.

PU: W Warszawie?

Maria Hensel: Tak. Wzięliśmy ślub na Saskiej Kępie w kościele, ale tam nie było dokumentu ślubu, bo nasze papiery miały zmienione daty urodzenia. Akt ślubu został więc sporządzony w Tarczynie, skąd potem został przekazany do Piaseczna, bo ja przecież musiałam w pewnym momencie sprostować te nasze dane. Mój brat, adwokat, pomógł mi odnaleźć te dokumenty.

PU: Już po wojnie?

Maria Hensel: Całkiem niedawno, kiedy już dochodziłam do emerytury, on mówi: „Ty nie masz przecież dokumentu ślubu!”

PU: Dziękuję bardzo. Panie Profesorze, kiedy Pan skorygował swoje dane?

WH: Zaraz po wojnie, bo inaczej bym nie mógł znaleźć zatrudnienia.

PU: Co Pan robił w chwili skończenia wojny?

WH: Mieszkałem w Lublinie, bo pojechałem, żeby zrobić doktorat w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Żonę zabrałem ze sobą.

PU: Kiedy Państwo tam dotarli?

WH: W październiku albo w listopadzie 1944 r.²

PU: U kogo pisał Pan ten doktorat?

WH: Szczęśliwie kierownikiem Katedry Historii był tam profesor Leon Białkowski, który był też docentem Uniwersytetu Poznańskiego. Zwiedzał kiedyś wykopaliska w Poznaniu i tam mnie poznał. Ja przecież nie miałem żadnych papierów — nawet dyplomu magisterskiego. Był tylko zapis w „Z otchłani wieków”, że skończyłem studia. Promotorem był profesor Białkowski.

PU: Kiedy była obrona doktoratu?

WH: Pod koniec 1944 r.

Maria Hensel: Nie, bo mnie powiedziałaś, że masz doktorat dopiero w lutym czy w marcu 1945 r.

WH: Byłem tam starszym asystentem i prowadziłem wykłady z archeologii dla historyków sztuki, ale zapomniałem ich nazwisk. Jeden to późniejszy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Kalinowski. Prowadził później wykopaliska w Tyńcu.

PU: A jaki był tytuł Pana doktoratu?

WH: *Ramy czasowe kultury wczesnopolskiej*.

PU: I z tym doktoratem Pan przyjechał do Poznania?

WH: W zasadzie przyjechałem do Leszna, bo tam profesor Wojciechowski za wstawiennictwem profesora Rajewskiego zatrudnił mnie w Instytucie Zachodnim. Wkrótce zostałem zastępcą kierownika okręgu poznańskiego Polskiego Związku Zachodniego. W końcu 1945 r. przyjął mnie warunkowo profesor Kostrzewski na miejsce, którego nie zajął profesor Rajewski. Powiedział, że może mnie tylko na rok przyjąć.

PU: Czy to dlatego, że profesor Rajewski jeszcze nie wrócił do Poznania?

WH: On był w Lesznie sekretarzem generalnym Instytutu Zachodniego.

PU: Ilu wtedy było w Poznaniu archeologów ze stopniami naukowymi?

WH: Trudno mi w tej chwili policzyć, ale pewnie ze trzech–czterech.

PU: I jakie zadania profesor Kostrzewski Panu powierzył, oprócz oczywiście zajęć na uczelni? Czy jakieś badania terenowe?

WH: Nie, badania terenowe zacząłem dopiero w 1946 r., w katedrze poznańskiej.

PU: Czyli wrócił Pan do tego, co Pan przerwał przed wojną.

WH: W 1946 r. odkryłem, jako pierwszy, mur preromańskiej pierwszej katedry poznańskiej. Szczęśliwie wybrałem miejsce na granicy pomiędzy prezbiterium a nawą główną.

PU: Jest 1946 r. i ukazuje się Pana artykuł o potrzebie uczczenia wielkiej rocznicy, ten, który ruszył lawinę badań milenijnych. Dlaczego akurat Pan to napisał, dlaczego w tym roku, czy to był Pana pomysł, czy profesora Kostrzewskiego?

² Zob. też J. Kośnik, *Lubelski etap działalności Witolda Hensla*, „Archeologia Polski”, t. 52: 2007, z. 1–2, s. 219–221 (przyp. Redakcji).

WH: Mój. Akurat odkryłem ten mur łączący się z czasami Mieszka I.

PU: Ale było jeszcze 20 lat do tego milenium.

WH: Uważałem, że wykopaliska długo trwają i trzeba wcześniej wszystko przygotować. To właśnie atmosfera, w której żyłem, i odkrycia w katedrze poznańskiej mnie natchnęły, żeby napisać ten artykuł.

PU: Dwa tygodnie temu odbyła się sesja Polskiego Towarzystwa Historycznego ku czci profesora Gieysztor i tam znowu ten artykuł był wspomniany, jako inicjatywa, która ruszyła cały ten proces. Czy odzew był natychmiastowy?

WH: O nie, to trwało dosyć długo. Zresztą były i przykre chwile. Józef Kostrzewski był wtedy skłócony z dyrektorem Państwowego Muzeum Archeologicznego, Ludwikiem Sawickim. A bez dyrektora nie można było wtedy prowadzić żadnych badań, bo on był głównym archeologiem w Polsce.

PU: Dyrektor PMA nadzorował wszystkie badania archeologiczne?

WH: Miał jakąś pieczę dzięki Lorentzowi.

PU: Czy to wynikało też z konfliktu ideologicznego? Bo wiadomo, że profesor Kostrzewski był silnie związany z Kościołem, a profesor Sawicki w tym czasie już raczej kierował się na lewo?

WH: Nie był profesorem Sawickim. Był Ludwikiem Sawickim.

PU: A czy miał doktorat?

WH: Nie miał. On nawet gimnazjum nie skończył, ale miał drukowane prace.

PU: Ale profesor Krukowski też nie skończył studiów.

WH: No tak, oni byli finansowani przez Erazma Majewskiego, który ich protegował.

PU: Co dalej się działo z tym pomysłem badań milenijnych? Mówił Pan, że miał Pan nawet przykrości z tego powodu.

WH: Niezręcznie zrobiłem, że napisałem list o tym do Sawickiego. I oczywiście Kostrzewski się obraził, że bez wiedzy szefa to zrobiłem.

PU: A co powiedział na ten artykuł?

WH: W ogóle nic. On z początku raczej był temu niechętny.

PU: Może nie widział, że to już trzeba zacząć? Wydawało mu się, że te 20 lat to za długo?

WH: Chyba były inne powody. On myślał, że jego następcą w Poznaniu będzie jego syn. Dlatego chętnie proponował mnie na inne uniwersytety.

PU: Czyli Pan nie był ukochanym uczniem profesora Kostrzewskiego?

WH: Ukochanym na pewno nie.

PU: A czy miał w ogóle ukochanych uczniów?

WH: Jednego wielkiego ukochanego — Jażdżewskiego, który mówił do niego „tatusiu”.

PU: Czy do Łodzi to właśnie profesor Kostrzewski go skierował?

WH: Nie, Jażdżewski sam potrafił to załatwić. Był w Warszawie pracownikiem Państwowego Muzeum Archeologicznego. W czasie wojny został nawet przez Niemców mianowany kierownikiem PMA.

PU: Potem miał z tego tytułu problemy.

WH: Nastąpiła kłótnia z Lorentzem, który uważał, że za jego plecami Jażdżewski próbował załatwić lokalizację dla Muzeum Archeologicznego.

PU: A profesor Lorentz starał się wszystko sam kontrolować?

WH: On zdaje się w czasie wojny był z ramienia Rządu Londyńskiego szefem kultury. I uważał siebie za szefa wszystkiego.

PU: A co się stało po napisaniu tego artykułu?

WH: Zdecydowałem, że trzeba w Poznaniu jakąś naradę zrobić na temat tego tysiąclecia. I tam wygłosiłem referat. To było w 1947 r.

PU: I kto był na tej naradzie?

WH: Głównie środowisko poznańskich archeologów.

PU: A czy historycy już się wtedy włączyli?

WH: Historycy jeszcze nie. We wrześniu 1948 r. zostałem zaproszony na siódmy zjazd powszechny historyków polskich we Wrocławiu, gdzie wygłosiłem referat *Początki państwa polskiego w świetle badań archeologicznych*. Myślę, że pojawienie się tego artykułu spowodowało zaproszenie mnie na zjazd.

PU: I co dalej się działo z programem milenijnym?

WH: Potem przejęła to wszystko Warszawa. Była jeszcze jedna narada, którą zorganizował Lorentz.

PU: A gdzie było to zebranie?

WH: W Warszawie, w Muzeum Narodowym. Tam zdecydowano, że powstanie Kierownictwo Badań.

PU: Na chwilę chciałem przekazać mikrofon Pana żonie, która przypomina sobie o odźwięku, jaki wywołał artykuł *Potrzeba przygotowania wielkiej rocznicy*.

Maria Hensel: Ten tekst czytano na ambonach w kościele, sama to słyszałam w kościele Zmartwychwstańców.

PU: Czyli to bardzo szybko rozeszło się właściwie wśród całego społeczeństwa?

Maria Hensel: Tak.

PU: Dziękuję. Panie Profesorze, skończyliśmy na naradzie u profesora Lorentza, który wydelegował Aleksandra Gieysztora. Te dokumenty są już publikowane więc wiemy, że w tym czasie uważano, iż to historycy powinni wszystko nadzorować. Profesor Gieysztor napisał w 1948 r., że to historiografia pokaże archeologom te miejsca, w których należy kopać. Ale szybko się okazało, że jednak najważniejsza w tym programie będzie archeologia, bo historycy tak naprawdę niewiele wiedzą. Jak to dalej się rozwijało? Kiedy zaczęły się pierwsze badania terenowe?

WH: Chyba jeszcze w 1948, a najpóźniej w 1949 r. W każdym razie moje badania w Poznaniu z 1946 r. połączyły się z „tysiącleciem”.

PU: Jak długo kopał Pan w Poznaniu?

WH: Do końca 1946 r. W latach 1947 i 1948 kontynuowałem, ale już poza katedrą. Potem rozpoczęły się ataki na mnie. Największy był w 1952 r. w Jeleniej Górze, gdzie był zjazd wszystkich kierowników badań, zorganizowany przez Naczelną Dyрекcję Muzeów i Ochrony Zabytków. Tam Lorentz wystąpił z atakiem na mnie, że sabotuję akcję Tysiąclecia. Ale na tym zebraniu byli też tacy, którzy odważyli się przeciwstawić Lorentzowi.

PU: Kto?

WH: Do nich należał między innymi były rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor Tadeusz Lehr-Spławiński, i historyk prawa, wtedy docent, potem przez wiele lat profesor, Michał Szczaniecki.

PU: To oni wstali i głośno się przeciwstawili Lorentzowi, co wymagało pewnej odwagi.

WH: Mnie się wydaje, że chodziło o pozbawienie mnie wykopalisk w Poznaniu, co zresztą zrobiono w 1951 r. Ale wszystko skończyło się dla mnie szczęśliwie, bo doszło do zatwierdzenia mojej habilitacji, którą podobno ze względów politycznych wstrzymywano. To otworzyło mi drogę do dalszej pracy naukowej. Potem zostałem profesorem Uniwersytetu Poznańskiego.

PU: A czy profesor Kostrzewski wspierał Pana w tym, czy był obojętny, czy niechętny tej karierze?

WH: Habilitację wspierał, ale profesurę nie bardzo, raczej odwrotnie.

PU: A kiedy Pan się znalazł w Warszawie?

WH: Przeniesiono mnie w 1953 r. do Instytutu Historii Kultury Materialnej, jako wicedyrektora, potem jako p.o. dyrektora.

PU: Teraz dochodzimy do źródeł powstania Instytutu Historii Kultury Materialnej, który właśnie obchodził swoje 50-lecie. Kto wymyślił ten instytut?

WH: Wielką rolę odegrał Kazimierz Majewski.

PU: Jedni twierdzą, że to była kopia tradycji rosyjskiej Akademii Historii Kultury Materialnej. Inni twierdzą, że to była kontynuacja polskich pomysłów, jeszcze przedwojennych.

WH: Nie zapominajmy, że był w Polsce wielki historyk gospodarczy Rutkowski, profesor Uniwersytetu Poznańskiego. On miał już przed wojną ideę utworzenia kierunku historii kultury materialnej.

PU: Kto był pierwszym dyrektorem Instytutu?

WH: Majewski, który miał trzech zastępców: Gieysztorą, mnie i potem Dynowskiego.

PU: Zatem od razu były trzy główne dyscypliny, które do dzisiaj przetrwały, czyli historia, archeologia i etnografia. Jak rekrutowano kadrę do Instytutu? Częściowo z Kierownictwa Badań?

WH: Wszyscy którzy pracowali kiedyś jako kierownicy.

PU: Gdzie była pierwsza siedziba Instytutu?

WH: W Pałacu Staszica. W pobliżu tak zwanej kopuły.

PU: A czy Instytut przejął te wszystkie wielkie badania milenijne od Kierownictwa?

WH: Przejął wszystkich kierowników po prostu i wszystkie stanowiska.

PU: Jak to było możliwe? Przecież to był ogromny program, na skalę europejską. Do dzisiaj chyba w takiej skali nie prowadzono kampanii wykopaliskowych.

WH: Akademia przejęła z Ministerstwa Kultury i Sztuki budżet Kierownictwa.

PU: Przecież to były wielkie koszty w kraju zniszczonym przez wojnę. Jak to się stało, że te pieniądze w dalszym ciągu napływały?

WH: Musiało być porozumienie rządowe, ale ja w tym nie uczestniczyłem.

PU: Profesor Majewski był dosyć krótko dyrektorem. Dlaczego zrezygnował?

WH: Zachorował na serce i nie chciał kontynuować.

PU: A dlaczego z tych trzech zastępców dyrektora właśnie Pan został jego następcą?

WH: Już nie wiem. Akademia musiała podjąć tę decyzję, Sekretarz Naukowy. To było gdzieś w marcu 1953 r.

PU: A jakie były stosunki z Katedrą Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego w tym czasie?

WH: Tam był Antoniewicz, ale on był też współpracownikiem Instytutu w dziale Atlasu Archeologicznego.

PU: Czy nie było żadnego konfliktu, czy jakichś prób przeciwdziałania powstaniu Instytutu?

WH: Była tylko czasami osobista niechęć. W każdym razie starano się, żeby mnie usunąć, a Antoniewicz rozdawał stanowiska w Instytucie.

PU: Jak mógł rozdawać stanowiska w Instytucie, jeżeli Pan był dyrektorem?

WH: Dawał stanowiska rozmaitym osobom, które potem mi o tym mówiły.

PU: A czy możemy wymienić jakieś nazwiska?

WH: Może nie.

PU: Jaki był stosunek profesora Kostrzewskiego do powstania Instytutu? Profesor Kostrzewski był symbolem kontynuacji archeologii sprzed wojny i najbardziej znanym archeologiem. Co mówił? Czy komentował jakoś powstanie Instytutu?

WH: Tego sobie nie przypominam. Ale wtedy ja zostałem profesorem, to znaczy zajęłem jego stanowisko profesorskie, a Kostrzewski uważał, że został usunięty.

PU: Bo został posłany na wcześniejszą emeryturę?

WH: Zastosowano wówczas nieprzyswoicie w stosunku do 30 profesorów przedwojenną granicę emerytury, czyli 65 lat. I stąd właśnie Kostrzewski był obrażony.

PU: Może myślał, że Pan go wygryzł z tego stanowiska?

WH: Nie, nie on tak myślał, tylko mu to podpowiadano.

PU: Ale Pan szybko z Poznania przeniósł się do Warszawy, a kto Poznań przejął?

WH: Profesor Kóćka. Na moją propozycję.

PU: Czyli z Wrocławia wrócił do Poznania.

WH: We Wrocławiu był antropologiem, w Poznaniu archeologiem.

PU: Czyli Wojciech Kóćka po raz trzeci zajął Pana miejsce.

WH: Tak jest, zawsze kontynuował niejako moje prace.

PU: Przed wojną w Gnieźnie i w Poznaniu, a teraz znowu w Poznaniu. Panie profesorze, a jakie były stosunki z władzami rządowymi? Czy były jakieś polityczne naciski? Czy można było te badania milenijne całkowicie swobodnie prowadzić?

WH: Nacisków żadnych na mnie nie było.

PU: A jak wyglądały kontakty z władzami polityczno-rządowymi? Czy w ogóle ich to interesowało na bieżąco?

WH: Wszystko zależało wszystko od tego, jaki był sekretarz partii w terenie.

PU: Czy oni próbowali się wtrącać, czy pomagać?

WH: Tego to nie wiem. Raz tylko miałem kłopoty, a mianowicie wtedy, kiedy w szkołach przestano uczyć religii.

Maria Hensel: Kiedyś, już nie pamiętam w którym roku, wezwano mojego męża...

PU: Miałem lekcje religii w szkole jeszcze w 1958 r.

Maria Hensel: Męża zapytano: Czy Pan wie, że żona zabiera dziecko ze szkoły, w której kasujemy religię, i przynosi tam, gdzie jest religia? Ja rzeczywiście tak robiłam. Mąż powiedział: „Dzieci wychowuje żona, ja dużo pracuję”. Był wtedy dziekanem. „A Pan nie ma na to wpływu?” A mąż mówi: „Gdybyście mieli wszystkich obywateli takich jak moja żona, to bylibyście bardzo szczęśliwi”. Tak się skończyła ta dyskusja i już nigdy do żadnego posyłania dzieci do szkoły się nie wtrącali, choć ja to kontynuowałam również w Warszawie. Zdzisław³ był w szkole z religią, ale jak została religia zniesiona, to go przeniosłam do następnej szkoły. Wszystkie dzieci chodziły na religię i przystępowały do komunii świętej.

PU: Panie Profesorze, jak wyglądały kontakty Instytutu z innymi Akademiami? Czy dyrektorzy się spotykali, czy uzgadniali jakąś wspólną politykę?

WH: Tego nie było. Wspólnego uzgadniania polityki nie było nigdy.

PU: A wymiana jakichś doświadczeń?

WH: To zależało od poszczególnych dyrektorów, od ich inicjatywy. To nie było z góry narzucone.

Maria Hensel: Powiedz, jak się odbywały pierwsze kontakty zagraniczne. Cudzoziemcy, którzy drukowali artykuły w „Slavii”, honorarium dostawali w Polsce. Kiedy przyjeżdżali, to mieszkali u nas na ulicy Traugutta, na naszym kompletnym utrzymaniu. Mąż ich obwoził i pokazywał wykopaliska milenijne.

PU: Czy były naciski na stosowanie metody marksistowskiej? Bo wiemy, że niektórzy — jak Sawicki, Antoniewicz — z dużą ochotą to przyjęli, czy na Instytut były jakieś naciski w tym względzie?

WH: Za moich czasów nie.

PU: A jak było z cenzurą wydawnictw instytutowych? Czy była jakaś kontrola, czy to wewnętrznie robiono?

WH: Była ta państwowa kontrola, na Mysiej.

PU: A czy przypomina sobie Pan, że był może jakiś problem z tą cenzurą?

WH: Były różne.

PU: No właśnie, może jakieś ciekawe zdarzenia pamięta Pan, bo dzisiaj już nikt nie wie, co to była cenzura.

WH: To było przed Instytutem, a mianowicie w „Słowiańszczyźnie” pisałem o tradycjach budownictwa ludowego, i tam oczywiście dawałem przykłady drewnianych chat, mię-

³ Obcny wicedyrektor Instytutu Archeologii i Etnologii PAN.

dzy innymi w Rosji. Cenzorzy zaprosili mnie i zapytali — jak to w Rosji może być drewniana chałupa.

PU: Kazali wykreślić?

WH: Nie, tylko zwrócili na to uwagę.

PU: Przez cały czas nie miał Instytut żadnych problemów z wydawnictwami?

WH: Raczej nie.

Maria Hensel: To były przecież zagadnienia dotyczące takiej odległej przeszłości, to oni się do tego tak nie wtrącali.

PU: Czy po obchodach milenijnych było widać jakieś zmniejszenie zainteresowania władz, obniżenie poziomu finansowania?

WH: Specjalnie nie.

PU: Pan równocześnie pracował też na Uniwersytecie Warszawskim.

WH: Byłem kierownikiem Katedry.

PU: Czyli była taka unia personalna między PAN i Uniwersytetem. A kiedy Pan tę katedrę przejął?

WH: Kiedy Antoniewicz przeszedł na emeryturę w 1973 r.

PU: Prowadził Pan wykłady dla studentów w pełnym wymiarze?

WH: Tak. Prowadziłem też w Instytucie seminarium doktoranckie.

PU: Ilu było tych doktorantów?

WH: Wypromowałem trzydziestu siedmiu.

Maria Hensel: Profesor Gardawski był pierwszy.

PU: Ilu z nich zostało profesorami?

WH: Nie liczyłem, ale większość. Byli profesorami albo dyrektorami muzeów. Właściwie większość kadry to byli moi uczniowie.

PU: A czy miał pan wątpliwości co do którejś profesury czy habilitacji? Czy one zawsze były dobrze przygotowane?

WH: Pogorszyło się w ostatnim czasie.

PU: Ja się zgadzam z tym, że te kryteria faktycznie się obniżają. Panie Profesorze, a jak udało się siedzibę dla Instytutu zdobyć, mówię jeszcze o tej siedzibie na Długiej?

WH: Dostaliśmy jedno z pomieszczeń Instytutu Sztuki. Potem Dziekoński, który miał jakieś kontakty, wynalazł pałacyk Jakobsona. A ja miałem dobre kontakty z profesorem Secomskim, który był zastępcą Przewodniczącego Rady Państwa i który pomógł mi w uzyskaniu pieniędzy na remont.

PU: Czy po wojnie miał Pan jeszcze jakieś kontakty z Biskupinem?

WH: Starałem się o pieniądze dla Biskupina. Między innymi dostaliśmy je od wojewody z resztek, które pozostały po referendum „3 razy Tak”.

PU: Profesor Rajewski stracił już tę swoją zdolność zdobywania pieniędzy?

WH: Nie, ja akurat miałem dobrego znajomego wojewodę, od którego do ręki dostałem kopertę z pieniędzmi i zawiązałem potem do Biskupina.

PU: A czy jakieś pokwitowanie było?

WH: Nie.

PU: Po prostu w kieszeni Pan zawiązał te pieniądze Rajewskiemu? A ile ich było?

WH: Już nie pamiętam, ale sporo jak na owe czasy. Mieli za dużo pieniędzy i nie wiedzieli, co z tym zrobić.

PU: Początkowo w naszym Instytucie pracował też profesor Michałowski?

WH: Gieysztor odszedł do Instytutu Historii, a Michałowski sam sobie stworzył Zakład Archeologii Śródziemnomorskiej. Z kimś innym nie mógł pracować.

PU: Nasz Instytut wydaje kilkanaście czasopism i serii wydawniczych. Jak one powstawały?

WH: Przeważnie to była moja inicjatywa. Sam wymyślałem tytuł, bo chodziło mi o to, żeby każdy zakład terenowy miał bibliotekę i swoje pismo. Wtedy mógł robić wymianę książek, bo przecież nie było dewiz, żeby kupować książki.

PU: To wszystko wymagało pieniędzy. Czy była walka o pieniądze na Instytut, tak jak teraz jest, czy było trochę spokojniej?

WH: Trochę spokojniej było. Bo pieniądze przydzielał przede wszystkim Sekretarz Naukowy. To zależało od Komisji Finansowej, która działała przy Prezydium PAN. Gorsze czasy były, kiedy na przykład przewodniczącym komisji był Manteuffel, który był Instytutowi niechętny i wszystko robił, żeby Instytut jak najmniej dostał. Musiałem wtedy „walczyć” z Sekretarzem Naukowym, żeby dostać trochę więcej.

PU: Wkrótce po 1966 r. zaczęły zamierać badania terenowe, ale niektóre się pojawiały, na przykład Sandomierz. Czy to była też Pana inicjatywa?

WH: Myślę, że najwięcej tu się przyczynił Gąssowski. Chodził koło tego, żeby dostać lokal w więzieniu, w Zamku. Udało mu się zdobyć tam jakieś pokoje i tam było pomieszczenie dla Pracowni Sandomierskiej. On też wychodził pieniądze u władz lokalnych przede wszystkim u wojewody, u konserwatora zabytków.

PU: Już na koniec chciałem zapytać, jak rozpoczęła się współpraca zagraniczna. Chodzi mi o to wyjście na Europę zachodnią. We Francji i we Włoszech do dzisiaj wspominają, że uczyli się kopać miasta średniowieczne właśnie od Polaków, czyli właściwie od naszego Instytutu.

WH: To stało się dzięki zapraszaniu mnie na rozmaite sympozja międzynarodowe. Pierwszym było między innymi Spoleto w 1956 r. Tam byli profesorowie z różnych ośrodków, co dało okazję wejścia na tamte rynki.

PU: I od razu zapraszali naszych badaczy do udziału w wykopaliskach?

WH: W referatach mówiło się o naszych prowadzonych na dużą skalę badaniach szerokokopłaszczyznowych, czego na Zachodzie nie robiono.

PU: Nawet Anglicy, którzy są tak dumni ze swojej archeologii, przyznają, że te szerokokopłaszczyznowe badania miejskie zaczęły się od Polski. Zatem polska szkoła archeologii miejskiej rozprzestrzeniła się po Europie, i to zaraz po 1956 r.

WH: Tak jest. Miałem w Rzymie w 1958 r. referat o początkach miast podczas kongresu Unii Nauk Prahistycznych i Protohistorycznych. Potem Włosi zaprosili nas do współpracy.

PU: A jak Pan wybierał swoich współpracowników do Francji, do Włoch?

WH: Zależnie od tego, jakie języki znali.

PU: Kiedy przyszedłem do Instytutu niespełna 30 lat temu, byłem zaskoczony, że do naszej biblioteki napływa literatura zachodnia, której właściwie nigdzie nie było. Jak to się udało zrobić, że były dewizy i że można było to sprowadzać?

WH: Starałem się, żeby każdy zakład miał swoje pismo. Żeby biblioteka mogła dostawać wydawnictwa zachodnie. Dzięki tej wymianie wszystko zdobywaliśmy.

PU: Ale też kupowano, pamiętam, przez Ars Polonę sprowadzaliśmy różne książki.

WH: Tych stosunkowo było niewiele. Najwięcej było z wymiany. To było najważniejsze.

PU: Panie Profesorze, bardzo dziękuję za rozmowę.